Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 39. Poznań, dnia 28. Września. **1840.**

Literatura zagraniczna.

Populationistik oder Bevölkerungswissenschaft von Dr. Christoph Bernoulli. 1ste Hälfte. Ulm 1840.

(Ciąg dalszy.)

Rozdział drugi tego pisma poświęcony liczbowym stósunkom porodów, jako podstawy mnożącéj się ludności. Liczba wszystkich urodzonych dzieci w roku jednym, położona w stósunku do całéj ludności kraju, daje miarę płodności jego. W Europie miarą tą, jest liczba 28, to jest, na tylu mieszkańców rodzi się rocznie 1 dziecko. Rodzi się zaś na rok blisko 9,000,000 dzieci, na dzień więc przypada 24,600 porodów, na godzinę 1025. We Francyi rodzi się rocznie 973,662, dziennie 2660, co godzina 111;
w Prusiech . . . . 547,170, dziennie 1500, co godzina 62;
w Rossyi . . . . 2,334,000, dziennie 6400, co godzina 262.
W w. księstwie Poznańskiém przypadał jeden połóg na 20,8 mszk. w latach 1817. — 30., późniéj w 1835. i 36. roku na 24,7 mszk.; stósunek, któremu ze wszystkich prowincyi pruskich tylko Prussy wschodnie wyrównywały. Najpłodniejsze atoli okolice nie dosięgają o wiele naturalnego stósunku do liczby niewiast rodzić mogących. Liczba kobiet od 18tego — 47mego roku wynosi zwykle $\frac{1}{5}$, a przynajmniéj $\frac{1}{6}$ całéj ludności. Przypuszczając więc, że kobieta w tym wieku co dwa lata jeden połóg odbyć powinna, liczba nowonarodzonych byłaby w stósunku 1 : 10 lub 1 : 12. Widać zatém, że moralne i fizyczne wpływy naturalny stósunek rozpładzania się rodzaju ludzkiego przeszło o połowę zmniejszają.

Porody same w różnych miesiącach roku różne są co do liczby. Ze statystycznych obliczeń p. p. Villermé i Quetelet we Francyi i w Niderlandach, opartych na blisko 10 milionach połogów, wypada, że najwięcéj rodzi się dzieci w Lutym, najmniéj zaś w Lipcu. Różnica wynosi blisko $\frac{2}{7}$. Ponieważ więc czas poczęcia przypada na Maj i Październik, być bardzo może, że wśród wiosny siła upładniająca, działając w całéj naturze, a wśród jesieni przechodząc po dojrzeniu płodów do spoczynku, oddziaływa także i na ludzi. To pewna, że w Europie przynajmniéj taki stósunek ze wszystkich rachub statystycznych wykazuje się. Dla téj saméj przyczyny w półroczu zimowém więcéj daleko rodzi się dzieci, a niżeli w półroczu latowém. — Co do pory dnia mają się porody wśród dnia, do porodów wśród nocy, jak 4 : 5. W szczególności z wykazów instytutów babienia po główniejszych stolicach Europy wypada na 1000 porodów:

232 w sześciu godzinach przedpołudniowych,
215 „ „ popołudniowych,
257 „ „ przedpółnocnych,
296 „ „ popółnocnych.

Z dzieci przychodzących nieżywo na świat, nie licząc w to poronionych, o których nie ma żadnych dotąd podań, przypada: w Prusiech w przecięciu 3,29 na sto; w Poznańskiém od 1820. — 28. roku przypadało 1 dziecię nieżywe na 47 żywych. W monarchii pruskiéj od 1820. — 34. r. urodziło się dzieci 7,593,000, między témi przyszło 257,400 nieżywo na świat. Między żydami przypadało w przeciągu 15 lat tylko jedno dziecko nieżywe na 40,5 porodów. Z licznych poprzytaczanych przez autora postrzeżeń wypada jeszcze i to, że więcéj jest nieżywych porodów płci męzkiéj, niżeli żeńskiéj; więcéj dzieci nieżywych rodzi się po miastach, niżeli po wsi (różnica o 3 do 4 %); więcéj z nieprawego łoża, niżeli z małżeństw (różnica od 2 do 3 %). Oprócz miejscowych niektórych okoliczności, gdzie albo niemoralność, albo sposób zatrudnienia, kobiety ciężarne o nieżywe porody przyprawia, niedosyć dotąd zbadano przyczyny tak ogromnéj śmiertelności dzieci, objawiającéj się już w żywocie matek. Mylném jest mniemanie, aby to skutkiém było oświaty. Trafiają się, i dość często nieżywe porody u dzikich narodów, a nawet u zwierząt. Według Mosera na pewnéj majętności w przeciągu 19 lat z 603 cieląt uległo się 59 nieżywo, a ze 449 źrebiąt 29. Więcéj nadto uderza znaczna różnica płciowa

w liczbie nieżywych porodów. W ciągu 15 lat urodziło się w Prusiech 3,906,700 chłopców, między tymi 147,700 nieżywych, a 3,686,400 dziewcząt, między niemi 109,400 nieżywych. Przyczyny tego zjawiska nie szuka autor w tém, jakoby trudniejszém było porodzenie chłopca, niż dziewczęcia, ale ją widzi w tém samém psychologiczném pojawieniu, że w ogólności od poczęcia aż do 15 lat, więcéj chłopców niż dziewcząt zmiera. W kantonie St. Gallen od 1830. — 37. roku było porodów 5116, z tych 190 urodziło się dzieci nieżywych, 206 zmarło zaraz pierwszego dnia, 1691 nie doczekało roku.

Najbliższe zachodzi teraz pytanie, czyli te porody odbywają się drogą przyjętą i uświęconą w towarzystwie, to jest przez małżeństwa, czyli też drogą niepozwoloną, i w jakim do tamtych stósunku. Statystyczne rozwiązanie tego pytania rzuca mniéj więcéj światło na moralne usposobienie ludności. We Francyi w 35 latach bieżącego stulecia urodziło się przeszło 33 milionów dzieci, między témi było przeszło 2 miliony nieślubnych. W Paryżu od 1816 — 35. r. urodziło się z małżeństw 351,082 dzieci, z nieprawego łoża 194,758. W Berlinie od 1820. — 34. r. było dzieci prawych 103,050, nieprawych 19,800. W całych Prusiech w tym samym przeciągu czasu na $7\frac{1}{2}$ miliona dzieci przypadało $\frac{1}{2}$ miliona chrzconych na imie matki. Według tablic 1837. r. przypada 1 dziecko nieślubne, w Wrocławiu na 174 mszk., w Królewcu na 180, w Poznaniu na 185, w Elberfeld na 590 mszk.

Między porodami trafiają się bliźnięta, porody trojga, czworga i pięciorga dzieci naraz. Ostatni przypadek bardzo jest rzadki. W całéj monarchii pruskiéj w upłynionych 20 latach ani raz się nie wydarzył. W Saxonii 1838. urodziło się atoli 5 dziewcząt, wszystkie przyszły żywo na świat, ale w pierwszéj godzinie życia zmarły. Od 1826. — 34. r. było w Prusiech 52,384 porodów bliźnięcych, 659 trojga na raz, 11 czworga na raz. Populacya 100,000 mszk. zaledwie w 100 lat doczeka się porodu czworga dzieci na raz; bliźnięta zaś rodzą się w stósunku 1 : 84 porodów. Ważném byłoby porównanie tegoż samego stósunku u zwierząt. Według prf. Mozera na 603 cieląt uległo się 5 bliźniąt, a na 449 źrebiąt, 3. Między bliźniętami przeważa jeszcze liczba chłopców. Na tysiąc par było w Prusiech 366 par płci mięszanéj, 331 par chłopców, 303 par dziewcząt. Atoli, gdy więcéj się na raz rodzi niż dwoje, zawsze przeważa liczba dziewcząt.

W ogólności od 5ciu do 8miu $\frac{0}{0}$ rodzi się więcéj dzieci płci męzkiéj, niż żeńskiéj. Fizyologowie różne na to przywodzą powody: już że siła produkcyjna mężczyzn będąc o wiele wyższą, nadaje też przewyżkę męzkim porodom; już że się to dzieje wpływem życzeń małżonków, pragnących zwykle syna; już że mężowie bywają najczęściéj starszymi od żon i t. p. Wszystkie te atoli powody krytyki nie wytrzymują. Pod ostatnim względem robił spostrzeżenia pf. Hofacker w Tybindze, i taki z nich wykazał się wypadek: na 100 dziewcząt przypada

91	chłopców	gdy ojciec młodszy jest od matki,
106	„	„ „ 1 — 3 lat starszy od matki,
113	„	„ „ 3 — 6 „ „ „ „
124	„	„ „ 6 — 9 „ „ „ „
143	„	„ „ 9 — 12 „ „ „ „

nadto 116 gdy rodzice oboje są młodzi,
164 gdy są podeszli w wieku.

Mniéj więcéj obliczenia Sadlera w Anglii ten sam pokazały rezultat. Lecz ani jedne, ani drugie nie zasługują dla tego na uwagę, że są zdjęte ze zbyt małéj liczby małżeństw. Według Hufelanda potrzeba 10,000 osób, aby z nich na przeciąg roku wyprowadzić stósunek jaki normalny; na przeciąg tygodnia potrzeba ich stotysięcy; a na przeciąg dnia do 10 milionów. Zdaje się, że prawa równowagi płci obojga będą u ludzi te same, co są u zwierząt, i tuztąd prędzéj i pewniéj będzie można dochodzić fizyologicznych przyczyn.

Wszystkie statystyczne wykazy zgadzają się na to, że więcéj chłopców rodzi się z małżeństw, a mniéj daleko z nieprawego łoża. I tak na 1000 urodzonych dziewcząt przypadało

w Prusiech (1836. r.)	1062 chłopc. ślubn.,	1049 nieślubn.,
we Francyi . . .	1065 „ „	1048 „
w Czechach . . .	1056 „ „	1004 „
w Westfalii . . .	1047 „ „	1004 „

i t. d. Dowodzą tego tym sposobem, że dzieci nieślubne należą zwykle do pierwszych porodów niewiast, między któremi różnica płciowa nie jest jeszcze tak znaczna, jak w późniejszych porodach. Bernulli rozumi, że ta wyjątkowość u dzieci nieślubnych częścią na tém polega, iż dzieci takowe większéj podpadają śmiertelności, która z niewiadomych praw przyrodzenia najwięcéj chłopców trafia; częścią też, że nieślubni rodzice starają się wszelkiemi sposobami ukryć mianowicie u synów ową plamę nieprawego łoża.

W końcu zastanawia się jeszcze autor, jaki jest rozmiar i waga ludzi w rozmaitych porach wieku, i pod rozmaitémi stósunkami. Podług tabeli, którą Quetelet w Bruxelli najstaranniéj ułożył na każdy rok życia na długość i wagę ciała płci obojga, możnaby z małémi wyjątkami obliczyć nieznany wiek każdéj osoby. Następujące tylko z niéj udzielamy postrzeżenia:

Dziecię nowonarodzone płci mężkiéj długie jest 496 millimetrów i waży 3,20 kilometrów ($6\frac{1}{4}$ funta); dziecię płci żeńskiéj ma 483 mill długości, a 2,91 kil. wagi ($5\frac{7}{10}$ f.) Zwykle w pierwszych dniach życia tracą dzieci na wadze. Dziecię ważące zaraz po porodzie 3,126 kil. ważyło trzeciego dnia tylko 3,017 kil., a 7go dnia 3,006. W piątym roku dziecię jeszcze raz jest tak wielkie, jak przy porodzie, w 14tym trzy razy tylkie. Od 20go — 25go roku ciało o bardzo mało rośnie w wielkość i w wagę. Do 40go roku u mężczyzn, a do 50go u kobiet pomnaża się wciąż waga ciała. Od 50go i 60go roku znacznie człowiek się kurczy i traci na wadze.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Marzenie w mieście.

Śpiewnie, milutko, po szerokiéj błoni
Ojczystych borów szum bieży i pląsa,
To fale zboża przed sobą pogoni,
To z wierzb gałązek blade puchy strząsa.
I o drzew listki, o potoku wody,
Na milionowe rozsypane dźwięki,
Dziwny, tajemny, zapaleniec młody,
Aż w mury miasta gna leśne piosenki.
A takie świeże, że usta otwierać
I spragnionémi piersiami je chwytać,
Do głębi serca, i duszą powitać,
I słuchać długo — słuchając umierać!...

Znam — znam te pieśni, — grały niegdyś one
Na błonie mojéj przeszłości zielone,
Nim pierś miastowe opruszyły kurze;
Nim myśl, co w polu, gdy się urodziła
I lecąc w górę, to aż w niebo biła,
Wbiegłszy do miasta, gdzieś tam ziębła w chmurze!...

Tutaj — tu do mnie! niech wasz szum przyleci,
Bory ojczyste! — serce się rozżali, —
Myśl się obudzi — na nowo zapali —
Znowu powita gwiazdy, swoje dzieci!
I kiedy całe opłynie niebiosy,
Na suchą ziemię spadnie w kroplach rosy!...

Nieraz samotny, kiedy miasto spało,
Słyszałem z okien muzykę i pieśni,
Cudne! — a jednak sercu się zdawało,
Że miléj grali tam śpiewacy leśni:
Liście — wiatr — strumień i opok szczeliny.
I nieraz z miasta nadstawiałem ucha,
I nieraz długiem przesłuchał godziny,
By choć dźwięk jeden do mojego ducha,
Przemówił silnie wolną pieśnią boru!
Szumem — wiatrami pognanych obłoków!
Muzyką — pełną tajemnic wieczoru
U piersi opok wiszących potoków!...

I myśl leciała — a tam z głębi jarów,
Gdzie wyglądały czarnych sosien szczyty,
Gdy wyzierało słońce z mgły oparów,
Spieniony potok spadał na granity;
I huczał do mnie, jak organ w kościele,
Gdy dźwięk roztoczy pod sklepienia czołem,
A w jego huku było słów tak wiele,
Że mi świat cały zdawał się kościołem!
A wszystkie drzewa, głazy i mogiły,
Tak się gorąco do Boga modliły,
Że każdy listek zdało się, że wzdychał,
By zapomniany nigdy nie usychał! — —

A tam przy polu, gdzie krzyż na rozdrożu,
Ubrany w wianki z bławatków i maku,
Mały skowronek, gdy zanuci w zbożu,
Gdy mu odpowie słowik w róży krzaku.
I gdy po kłosach pieśń i wiatr, jak fala
Potoczy mile, cicho, tajemniczo, —
O! tak westchnienie wzdyma pierś dziewiczą,
Tak zapał piersi młodzieńca rozpala!
Ach! taka piosnka, gdy do duszy wpadnie,
To tak jéj miło, marzy jak wśród kwiatów,
Że po téj pieśni z ciała się wykradnie,
I zapromieni przez przepaście światów!...

I znowu ztamtąd, — gdzie w opoki czoło
Jodła korzenie wszczepiła, jak szpony,
I gęstym liściem poszumia wesoło,
I dumnym szczytem patrzy na wsze strony.
I zda się mówić: zdeptać ziemię trzeba,
Żeby swobodną głową sięgnąć nieba!
I ztamtąd — taki himn mnie dolatywał
Huczny! — zwycięzki! himn, jakiego w mieście
Muzyk nie zagrał — i bard nie zaśpiewał,
Nie wypiszczały go usta niewieście! —
Bo miasto z głazów, co nie dadzą dźwięku,
Tylko głos jakiś podobny do jęku,
Do płaczu sierot, i do kajdan brzęku! —
Bo w nim się żadna wielka myśl nie zmieści,
O! bo powietrza potrzeba jej dużo,
Trzeba jéj słońca — i zetrzeć się z burzą,
Dopiero światu zabłyszczy — zawieści!...

Miasto bezmowne — nie śpiewa, jak pole,
A wieże nad nim jak szkielety sterczą,
I nie zanucą, jak jodły — topole,
Tylko złoconą chorągiewką skwierczą.
Po jego bruku koło zaturkota,
Lecz nie zadzwoni, jak strumień po łące;
W nim pełno kurzu — kamieni i błota —
A nad nim ciężą wyziewy duszące.
I jest, jak turma na świata padole,
Ludzie w nim?... pieśni moja, poleć w pole!...

Wrześn. 1840.

Wyjątki z najnowszéj powieści M. Czaykowskiego:

KOSZOWATA.

(Dalszy ciąg.)

Tak sam z sobą rozmawiał Skandyba — kto był ten człowiek? — nie Polak, nie Sławianin — syn mieszczanina z nad Baltyckiego miasta podszywający się pod znamie Polaka — pycha zakołysała jego duszę w téj chwili życia, kiedy człowiek z dziecka na młodzieńca przechodzi — nie miał ani jednéj zdolności, ani jednéj cnoty, żeby stanąć wyżéj od drugich — a brakowało mu téj szczeroty serca, tego chrześciańskiego ducha prawdy, co nietylko pozwala, ale nakazuje uznać wyższość, a nie stracha się równości. U niego pycha hodowała się zawiścią ku drugim, a w końcu nienawiścią ku wszystkim. On jeszcze młodzieniec każdy czyn bliźniego, różnobarwą klewotą, jeśli nie zaćmić, to chciał przyćmić przynajmniéj, a używał do tego cudzych ust, cudzego imienia — nigdy nie śmiał powiedzieć, — ja to mówię — z takiém schydzoném ziarnem w sercu jawie świata go lękało — bezbożnik chciał świętą suknią obsłonić pokalany duch, wszedł do duchownego stanu. Ale tam oko w oko z pokorą, z wiarą i z miłością nie mógł długo wytrzymać — szatan w nim zagrał i wygonił precz ze świętego miejsca — wywlókł się — i wtenczas zapewne nauczył się sam sobą pogardzać, kiedy prawda, choć na jednę chwilkę zaświeciła w jego duszy — po wywłoctwie złość jego i nienawiść ku ludziom nie miała ani miary, ani hamulca. Jak odrzutek jaki, w kale występku się kąpał, i złém ludzi karmił swoją pychę. Cztery laty temu, jak przez wypadek jakiś poznał się z panem starostą Koszowackim w Warszawie, umiał pochlebiać hardéj duszy szlachcica, i pozyskał jego przyjaźń i zaufanie. Z nim przybył na Ukrainę, został pełnomocnym rządcą, a razem przyjacielem ścisłym pana starosty — przynajmniéj tak się zdawało panu staroście.

Pan Skandyba bezustannie odbywał jakieś tajemne przejażdżki, i widywał się z tajemnymi posłami — ludzi ćwiczył łozami, i w nieludzkiéj ryzie surowości trzymał — zdzierstwem dostarczał grosza do pańskiéj szkatuły, i sam w rachunkach w żaden deces nie wpadał. Podwładnych zaś ekonomów, leśniczych i tak daléj, umiał tak dobrze wpędzić w rachunki, iż po roku skończonym każdy nie tylko nie dostał rocznéj płacy, ale ani jednego sprzętu nie wywiózł z Koszowaczyzny — wszystko, nawet odzienia żony i dzieci pograbiono, na korzyść pańską. I chłopi i podwładni rządcę nie cierpieli — lecz starosta, jak prawowierny w dziesięcioro Bożego przykazania, tak wierzył w jego poczciwość. I sąsiedzi powtarzali — może trochę i uciemięża, ale pańskiego dobra pilnuje, jak oka w głowie.

Umiał Skandyba ładném słówkiem starostę utrzymać w samolubstwie i w jakimeś oddaleniu od ludzi — umiał utwierdzać w nim przekonanie, że żona jest dzieckiem potrzebującém rozkazu i napomnienia, a nie oznak miłości, powiernictwa i zaufania. Rządca wiedział, że tacy ludzie, jak starosta, przyjmują rozkazy od wyższych, rady od niższych, a od równych sobie nic — i dla tego był pewnym swojego panowania nad nim. — Do swojego zaś dobrze ograniczonego zaufania przypuścił tylko dwóch ludzi: Jurka, przechrzczonego żydka z Bohuławia, którego pan starosta trzymał do chrztu, a jako umiejącego czytać i pisać umieścił u siebie za pisarza prowentowego, — i Moszka, głównego arędarza Koszowatéj, żyda w całém znaczeniu tego słowa. Obydwa ci ludzie lubili pieniądze nad wszystko. Pan rządca Jurka używał za rachmistrza i do pisania kontraktów, i pozwalał brać rebochem i porękawiczne, — arędarza upoważnił do handlowania i borgowania, a kozaków dworskich dawał na exekucye, do poboru należności od chłopów. I sromota ludzka powiedzieć o wszystkich sprawach przed panem rządcą — żyd parch miał prawdę, a poczciwy chłop był winien. Jurek i Moszko jak psy wiernie służyli panu rządcy, wierniéj, jak panu staroście.

Już drugą szklankę wiszniaku wychylił pan rządca, bardziéj zapyrzał twarzą — »Ślad w ślad za nią! — o panie namiestniku! — ona,« i oczy mu pobłyszczały, »kto wie.« — Wtém drzwi się otworzyły i wszedł żyd, służny, cięki, o kruczych pejsach, a o oczach takich latających, że ani można zachwycić ich barwy i kształtu — nisko pokłonił się, »Kłaniam — a co wielmożny pan każe?« — »Co tam słychać Moszku?« — »Nu, śnieg wielki i zimno wielkie — a tu nie ma czém raty zapłacić.« — »To poczekamy — ale cóż tam więcéj słychać?« — »Nu, wczoraj wieczór panicze z Kruto-horbów zajechali do Warszawy zagrzać się — i oni mówili o tym przypadku jasnych państwa — to strach.« — »Cóż oni mówili?« — »Że ten Maxym państwa uratował — i to tak.« — »Prawda, że odważnie,« i przygryzł usta. — »A ja przyznam się wielmożnemu panu, że ja tego Maxymacza nie lubię.« — »Dla czego, dla tego, że nie pije.« — »Nu i dla tego — ale i dla tego, że wszystkie te chamy jego strasznie kochają, a on nie bardzo dobrze na wielmożnego pana gada.« — »Cóż gada?« — »Ja tego nie śmiem powiedzieć — on gada, że wszystko złe, co się tu dzieje, to od wielmożnego pana idzie, że pan starosta nic nie wie, że on dobry, a wygaduje. On namawia, żeby szli na skargę do pana starosty, na wiel-

możnego pana i obiecuje, że on sam pojdzie po ich przodzie.« — Rządca wstał z miejsca, »Ha! gada — zobaczymy!« przeszedł się po izbie. — »To na potem, a teraz panie Moszku.« — »Co wielmożny pan każe?« i żyd powracał się za chodzącym rządcą i oczyma po nim świdrował, ile razy on mu się w oczy nie patrzył. — »Teraz ma tu przyjechać pan generał gwardyi królewskiéj.« — »Nu, pan Branicki.« — »I pan wojewodzic Kijowski.« — »Nu, tacy wielcy panowie u naszego pana starosty.« — Rządca widać zapomniał, że żyd był w izbie, bo pomrukiwał sam do siebie, ale tak, iż żyd niektóre słówka uchem pochwytał: »Tak do pana starosty — on im za dudka służy, a oni służą za dudka komu innemu — a mnie to gradka.« Chodząc po izbie trącił o stół, i szkło zabrzęczało; ocknął się z dumania i spojrzał na żyda. — »Otóż, Moszku, od ludzi trzeba żebyś wszystko się wywiedział: kto bywa u panów, z kim mają konszachty, i jakie.« — »Nu, ja rozumiem, co wielmożny pan chce — oni po czarce wszystko wygadają.« — »Nie żałować ani wódki, ani miodu — co zechcą, wszystko dawać — a jak nie zapłacą, to ja zapłacę.« — »Nu, niech wielmożny pan będzie spokojny, — a ten Moskal od generała?« — Aż białki oczów poczerwieniały rządcy — »Cyt — był — ale o tém wara gadać — milczeć — rozumiesz?« — »Rozumiem; — ja mam prozbę do wielmożnego pana: ten Hryćko Salop winien mnie dwadzieścia złotych polskich, które przyrzekł oddać po zapustach, a mnie teraz ich potrzeba — a jego czumaki przywieźli ośm maź soli.« — »Dobrze, zaraz każe mu sól zabrać i wacpanu oddać.« — »Nu, to sprawiedliwie — on taki hajdamaka, na wielmożnego pana gada.« — Rządca nic nie odpowiedział, a Moszko poznał, że to ma znaczyć: pójdź precz. — »Nu, kłaniam wielmożnemu panu.« Pokłonił się i wyszedł.

Pan Rządca znowu łyknął wiszniaku, »Ha! cham gada na mnie — przeciwko mnie podszczuwa — nie zapomnę ci tego! — ale teraz czém inném mam się zająć.« — Wszedł Julek, małego wzrostu, dosyć zwinny — twarzy żółtawéj, jak surowa kartofla, a miny niepoczesnéj złodziejskiéj, »Pan prosi pana Rządcę.« — »Już nie śpi, zaraz idę, — ale, ale słuchaj no, Julku: dziś u pana mają być dwaj wielcy panowie — zapewnie będą rozmawiać w bawialnéj komnacie — waść będziesz kończył te rachunki z Jakubowskim w przedpokoju pańskiéj kancelaryi — z kancelaryi są drzwiczki do bawialnéj komnaty skryte z cienkiego przepierzenica — ztamtąd można wszystko słyszeć, rozumiesz waść? — to dla nas potrzebne.« — »Rozumiem, panie rządco« i czarne oko przechrzty z radości się uśmiechnęło, bo ciekawość a szczególniéj tego rodzaju była bardzo ponętną dla niego.

Jeszcze w nocy nim starościna pokończyła swoje modlitwy, nim starosta zajęty rozmaitémi rozkazy przyszedł do sypialnéj komnaty — wbiegła Marta, czarnobrewa dziewica, wierna służąca Maryi — a w jéj ciemném oku i blask radości i łzy radości, a na licach bielutkich żarzy się rumieniec oledwie nie tak kraśny, jak czerwona życzka, wijąca się między warkoczem kruczych włosów — »Pani! Maxym przyjechał.« — Marya dłoń do dłoni jeszcze silniéj przycisnęła, »O Boże mój! — jak to — o Boże! dzięki tobie.« I wstała z klęczek i słuchała radośnego szczebiotania Marty — ta jéj wyszczebiotała wszystko od deski do deski, i nie zapomniała powiedzieć, że młody namiestnik i pan Stanisław Maxyma aż do zamkowéj bramy odprowadzili, całowali go i ściskali, jakby serdecznego brata, jakby równego sobie szlachcica. — Maryi lice przed chwilką blade, rozmiłało się cieniem rumieńca, coraz żywszym, coraz śmielszym, i oczy zatroskane, zapłakane, zabłyskiwały, jak odbryzgi rosy, słońcem zbrylantowane, usta słodko się uśmiechały, a czoło rozpogadzała radość, »I gdzież on jest?« — »U pana.« — Marya bez zawołania męża nie śmiała pojść do jego komnaty i podziękować swojemu zbawcy — nie śmiała kazać zwołać go do siebie, a jednak serce jéj przepełnione wdzięcznością, chciało, miało potrzebę, wyłonić ją — i powiedzieć, choćby jedno słówko — dziękuję. Cóż kładło zaporę chęciom Maryi? Może ta powaga bezgranicznego posłuszeństwa mężowi, co wstrzymuje od zrobienia jednego kroku, bez jego woli, co mówi w ucho posłusznéj żonie, gdyby było potrzeba — onby ciebie zawołał. O nie, to obawa, aby jéj dobréj chęci, jéj szczerego uczucia, nie wzięto za inną chęć — za inne uczucie do kogo innego bieżące. Surowa twarz starosty w Krutohorbach, jego groźne a nawet opryskliwe obchodzenie się z namiestnikiem — wśliznęły w duszę Maryi myśli, o którychby inaczéj nigdy i nie myślała — obudziły uczucia drzemiące w błogim spokoju i w słodkiéj niewiadomości. Ona niepokalana, niewinna, snuła w swojéj głowie obawę o podejrzenie jéj anielskiego serca — i po raz pierwszy lękała się męża, nie przez małżeńskie posłuszeństwo, ale przez inne uczucie.

Kiedy nadszedł starosta, zapytała o Maxyma, ale na jego zimną i ucinkową odpowiedź: »Zdrów, nic mu się nie stało — i bez nich byłby powrócił,« Maryi zabrakło słów na dalsze zapytania na oświadczenie swojéj chęci, iż chciałaby go widzieć. — [illegible] noc oka nie zmrużyła, a przed niesenném okiem, jakby senne marzenia snuły się — i ci wilcy z paszczami śmierć ziejącémi, i ta chwila okropna, w któréj już nie było ratunku ocalenia życia — i Maxym skaczący między wil-

ków, wspaniały ludzką odwagą — wspanialszy nadludzkiém poświęceniem się. — Nie śpiąc, nawet kilka razy jakby ze snu krzyknęła, ale skoro mąż zaczął rozbudzać się — milkła — oddech ściszyła — i myślą błąkała się po krainie marzenia.

Z rana, jak tylko starosta wstał z łoża, Marya prędko się ubrała, wzięła w ramiona malutkiego synaczka, wyszła do kobiecego pokoju i wysłała Martę po Maxyma, — Wszedł Maxym, pokraśniał i po swojemu nie śmiał hardo oczyma spojrzéć — nawet nieśmiało pokłonił się, nietak, jak zawsze — to uczucie człowieka, którego dusza więcéj chce i zrobić może, jak się umie chełpić ze zrobionego czynu, — u kozaka przechwałka częściéj się objawi przed czynem, kiedy mówi „ja to zrobię!" ale kiedy już się zrobiło, czyn więcéj mówi, jak słowo, jak mina — i sam przed sobą ze skromności skromnieje, że się tak gracko sprawił. — I Marya zarumieniła się uczuciem wdzięczności, rękę ku niemu wyciągnęła, i synka mu na ręce podała — „Dziękuję ci, Maxymie, i on ci dziękuje." — Maxym nim wziął dziecię na ręce, pocałował w rękę panią z nieśmiałém poszanowaniem — „Nie ma za co, pani — Bóg tak chciał — jemu dziękować" I pieścił dziecinę, a dziecina rączętami z nim się bawiła, oczkami do niego uśmiechała.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O astronomii w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy więc cała nauka astronomii w Polsce na jedną szkołę główną Krakowską ograniczała się, za nim w późniejszych dopiero czasach szkoły w Zamościu i w Wilnie zakwitły, cała też pierwotna historya astronomii polskiéj, do historyi akademii krakowskiéj odnosi się. Starczy na nasz cel, gdy główniejszych tylko ze szkoły Jagiellońskiéj przytoczymy astronomów, których dzieła stały się głośnémi na Europę, i utwierdziły sławę nauk astronomicznych w kraju naszym.

Jan z Głogowa rozpoczyna szereg astronomów krakowskich. Uczniem jego był Wojciech z Brudzewa, Kopernika nauczyciel. Głośne jego u postronnych imie, ściągnęło do Krakowa mnóstwo cudzoziemców dla słuchania pod nim filozofii, matematyki i astronomii. Pisał w wielu i różnych materyach. Z pism astronomicznych pozostałych i drukiem ogłoszonych, najznakomitszém jest dzieło, wydrukowane na kilka dni przed śmiercią autora pod tytułem „*Computus Chirometralis*", jest to rachunek astronomiczny na lat 76 obliczony od 1482. do 1558. Biblioteka akademii Krakowskiéj posiada jeszcze w rękopiśmie: *Summa astronomica* i *Tractatus astrologicus*, tudzież autograf drukowanego w Krakowie 1514. r. dzieła: *Interpretatio eorum, quae Almanach verorum motuum planetarum Mag. Joan. de Monte Regio inscribuntur.*

Wojciech Brudzewski był Wielkopolanin (ur. 1445. † 1497.) Z dzieł jego Radymiński wzmiankuje następujące:

1) *Introductorium Astronomorum Cracoviénsium;*
2) *Tabulae resolutae astronomicae pro supputandis motibus corporum coelestium;*
3) *De constructione astrolabii.*

Tylko dzieło pod liczbą 2) wyrażone znajduje się między rękopismami biblioteki Jagiellońskiéj. Bentkowski przytacza nadto pismo jego drukiem w Medyolanie 1495. r. ogłoszone; był to komentarz do teoryi planet Grzegorza Purbacha, wydał go Joannes Otto Hermanus de Valle Uracense, i zastósował do użytku szkół włoskich. Brudzewski nie wiele zatém pisał. Pokazuje atoli liczba sławnych jego uczniów, jak biegłym był sam mistrz. Z obcych Jan Otto Herman, wydawca pomienionego komentarza, głosi się jego uczniem. Do liczby rodaków zaś należą: Bernard Wapowski, znany także, jako dziejopis, a w matematyce tak celujący, iż Kopernik w zawiłych rachunkach astronomicznych, jego zwykł był rady zasięgać; Jakob z Kobylina, autor wielce cenionego dzieła *Declaratio astrolabii;* Mateusz Szamotulski, komentator dzieła „*O sferze*" sławnego Jana de Sacro Bosco; Mikołaj Prokopowicz z Szadka r. 1548. rektor akademii, pisarz wielu prac astrologicznych.

Najsłynniejsi atoli z uczniów Brudzewskiego byli Marcin z Olkusza i Mikołaj Kopernik. Pierwszy († 1540.), — nie należy go mięszać z doktorem medycyny tegoż nazwiska, który był także nauk matematycznych professorem, a późniéj astrologiem nadwornym u Macieja Korwina, króla Węgierskiego, — był autorem układu poprawy kalendarza, o czém powiemy jeszcze niżéj, gdy o kalendarzach będzie mowa. Dzieło godne wiekopomnéj pamięci nosi napis: *nova calendarii romani reformatio,* i zachowało się z pism jego.

Kopernik jest stworzycielem nowéj astronomii, którego imie i nauka, według słów autora o stanie akademii Krakowskiéj, dopóty słynąć będzie, dopóki ziemia ciężkim niewiadomości i przesądów młotem przez wiele wieków przykuta, a przez rozum jego, że tak powiem ruszona, w biegu swoim nie stanie. Pozazdrościły nam go sąsiednie narody, i wiodą spór, a raczéj upór ślepy o jego rodowość; a przecież Toruń, miejsce urodzenia Kopernika (1473. r. 19. Lutego) ówcześnie do Polski należał, a ojciec jego według świadectwa

Zernikego w dziele: „Das geehrte und gelehrte Thorn 1712." był z Krakowa rodem, i dopiero późniéj obywatelstwo w Toruniu przyjął. Sam Kopernik, słuchając medycyny w akademii Padewskiéj, tamże stopień doktora osiągnąwszy, imie swoje *in albis Polonorum* zapisał.*) Geniusz, jakich mało, był oraz tak biegłym sztuki lekarskiéj, że go nazywano Eskulapiuszem lekarzów polskich. Wróciwszy z Włoch do Krakowa 1504. r. przedsięwziął zostać przy akademii, ale ofiarowana mu przez wuja, biskupa Warmińskiego. kanonia, sprowadziła go do Frauenburga. Tu cały astronomii się poświęcił, i nad udoskonaleniem systematu swojego pracował. Złożył prace swoje w dziele *de revolutionibus orbium coelestium libri VI.* w Norymbergu drukowaném. Właśnie wtedy już na śmiertelném łożu leżał Kopernik, gdy mu przysłano wyszły z pod prassy exemplarz jego dzieła. Wziął go do ręku, obejrzał, i w kilka godzin potém umarł d. 1. Czerwca 1543. r. w 71ym roku życia. Rękopisma dzieła tego zaginęły, a podobno drugiego wydania nie doczekało się. Jan Müller, prof. matematyki w Grenindze w 74 lat późniéj oczyścił z niezmierną pracą pierwsze wydanie z błędów, i wydał z druku pod tytułem: *Nicoli Copernici Thorunensis Canon. Varm. Astronomia instaurata. Amstelod.* 1617. Prawie równocześnie z wydaniem Norymbergskiém drukowała się w Wirtembergu staraniem Retyka Trygonometrya Kopernika, wyjęta z onego wielkiego dzieła o rewolucyach. Przypisał Kopernik naukę nowego systemu swojego Pawłowi III. papieżowi. W dedykacyi zaś tak się odzywa: „Astronomowie pozwolili sobie, wystawić koła dla wytłómaczenia biegów ciał niebieskich; pozwoliłem sobie równie rozebrać, ażali przypuszczenie biegu w ziemi, uczyni dokładniejszą i prostszą teoryą tych biegów.« Wielki ten człowiek, nie chcąc powstawać przeciw przesądom panującym, wystawił zatém prawdę, o któréj najmocniéj był przekonany, tylko jako hipotezę. — Towarzystwo przyjaciół nauk w r. 1801. ogłosiło konkursowe zadanie ku wyświeceniu, ile astronomia winna Kopernikowi. Rozwiązał je Jan Śniadecki, i do pisma tego, ze wszech miar gruntownego, odsyłamy ciekawszych poznać Kopernikowe systema Tu tylko przytoczymy zdanie o nim Dawida Brauna *de scriptorum Poloniae et Prussiae virtutibus et vitiis:* „Zresztą mąż on tak wielki, którego sławny astronom Tycho niezrównanym nazwał, a uczony Mikołaj Müler powiedział: że nad niego od Ptolomeusza czasów nikt nie był większym; mąż, który do tak wysokiego stopnia podniósł nauki astronomiczne, żadnego nie zyskał dla siebie pomnika, ani nawet mowy pochwalnéj!.... A lubo Kopernik był mąż równie skromny, jak uczony, nienapuszający się z nauk swoich, nie goniący za sławą; to téż tém bardziéj godni są nagany ziomkowie jego, że nie ocenili takiéj skromności wielkiego współrodaka.« Towarzystwo przyjaciół nauk w Warszawie spłaciło imieniem narodu ten dług wdzięczności, wystawiwszy przed domem swoim pomnik Kopernikowi, ulany podług wzorów Torwaldsena przez Jana Gregoire; zasługi zaś jego wyborném piórem wyliczył, i w godny sposób uwielbił, jak się powiedziało, Jan. Śniadecki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*) Podanie Sołtykowicza, jakoby Kopernik darował akademii Krakowskiéj obraz ojca swojego przez siebie malowany prf. Józef Muczkowski w najnowszém pisemku swojém o rękopismach Marcina Radymińskiego, str. 141., jako mylne sprostował. Zob. tamże ważny prawdopodobny domysł tegoż uczonego autora o almanachu z r. 1501., który miał Kopernik, bawiąc w Rzymie, napisać dla królewicza Fryderyka kardynała, arcybiskupa Gnieźnieńskiego, kanclerza uniwersytetu Krakowskiego.

Przegląd pism.

Rękopisma Marcina Radymińskiego, *opisał, i wiadomość o historyografach szkoły Jagiellońskiéj skreślił Józef Muczkowski. W Krakowie u Czecha,* 1840. r.

Akademia Krakowska, acz słynęła nie tylko na całe królestwo Polskie, jako powszechna krajowa szkoła, ale i u postronnych miała powagę i wzięcie, z ludzi głęboką nauką celujących, tak mało przecież zdawała się cenić znaczenie swoje, iż w pierwszych trzystu latach żadnego nie wydała męża, coby dzieje jéj skreślił, i zasługi w oświecie narodu wykazał. Marcin Radymiński ur. 1610. r. w Samborzu, później doktor filozofii i professor szkoły Jagiellońskiéj, widząc ostateczny akademii upadek, przy ostatku schorzałego życia, w czasach z powodu wojny szwedzkiéj najniespokojniejszych, zakrzątnął się około zebrania dziejów akademii, i doprowadził je jakokolwiek aż do r. 1600. Następcy jego nie korzystali z téj pracy. Zapomniana leżała w rękopiśmie, i nie byłby nawet nikt o niéj wiedział, gdyby ją Sołtykowicz, zdając sprawę o stanie akademii Krakowskiéj w r. 1810., z ukrycia bibliotecznego nie był wydobył.

Kiedy Radymiński zbierał dzieje akademii, już istnieli pod ten czas historyografowie r. 1621. funduszem Sebastyana Petrycego wyposażeni. Ich powinnością było spisywać krótko, jasno i wiernie, co każdego roku zaszło w szkole i po za szkołą. Tudzież sprawy zagraniczne znaczniejsze, i krajowe prywatne, takie, które wpłynęły na rzeczpospolitę, na kościół, na akademią, i w ogólności na publiczny interes. Nie zawsze się atoli działo zadosyć woli fundatora, a z rękopismów, jeżeli były jakie, mało się co zostało. Prócz pism trzech dawniejszych historyografów Petrycego, Temberskiego i Bieżanowskiego, biblioteka Krakowska żadnych innych nie posiada.

To więc są jedyne źródła dla przyszłego pisarza dziejów uniwersytetu Jagiellońskiego. Dzisiejszy szanowny i uczony rządca książnicy Krakowskiéj i professor bibliografii, zabiera się do tak ważnego dzieła, i gromadząc ku temu materyały, musiał przeto przede wszystkiém rozpatrzyć się w pracy Ra-

dymińskiego i w rękopismach historyografów. Pismo na wstępie przytoczone, jest krytyczne ocenienie onychże wartości, i wypłynęło z pióra jego, jako praca przedwstępna do historyi uniwersytetu Krakowskiego.

Pomijamy obojgo, jako więcéj uczonéj, historyograficznéj treści, a natomiast podajemy czytelnikom naszym niektóre episody pisma tego, obudzające ogólniejszy interes, ile że próstują pomyłki, uświęcone już prawie przez czas i naukową wziętość pisarzy, którzy je podali.

»Temuto brakowi skrzętnego badania prawdy — o Radymińskim mowa — czy też przeoczeniu jéj w źródle przypisać należy w niniejszéj księdze — »*Annales Almae Academiae Cracoviensis*« — pod r. 1584. przez niego zapisane, a przez Sołtykowicza na str. 401. powtórzone, i nakoniec pędzlem Stachowicza na sali jagiellońskiéj uwiecznione mylne podanie, jakoby królowa Anna, zwiedziwszy kollegium jagiellońskie, i tamże zastawione dla siebie śniadanie przyjąwszy, na dowód i zaręczenie swego szacunku i szczególniejszéj łaski dla uniwersytetu, zdjętym z szyi złotym łańcuchem ze swym wizerunkiem, nie zaś jak Sołtykowicz zbyt ogólnie napisał, zdjętym z szyi bogatym ubiorem, jego rektora udarowała. Inaczéj się bowiem rzecz miała, jak świadczą akta rektorskie, wzmianka uczyniona w Efemerydach Leowicyusza w bibliotece uniwersyteckiéj zachowanych, tudzież wiadomość w jednym z rękopismów rozmaitéj treści spółczesną ręką skreślona. W tym bowiem rękopiśmie na str. 383. czytamy, iż: »Roku 1584. 24. Aprilis Anna Jagielonka, królowa polska, Stefana I., króla polskiego, małżonka, ostatni potomek Jagiellów, była u Św. Anny na mszéj, gdzie na ofiarę idąc zostawiła 50 czerw. fl. po 56 gr. każdy licząc. Po mszéj, gdy z kościoła wyszła, zastąpili jéj na cmentarzu Doktorowie y Mistrzowie z Collegium Wielkiego, y prowadzili ją aż do *Collegium ad superius lectorium*, gdzie ją *oratione sua excepit Martinus Pilsnensis Can. Cracov. y Acad. Rector*, wyliczając jéj, kto co na Collegium nadał z przodków jéj. Od Królowéj Jéj M. odpowiedział *Andreas Patricius*, Sekr. Jéj Król. M. kan. krak. *Archidiac. Viln. Praep. Varsov.* Potém prowadzona była do Biblioteki, ztamtąd do *Communitatis* izby, gdzie ją marcepany, y cukry, y konfekty częstowano. Trzeciego dnia potém posłała *Collegiatom* kubek złoty, który ważył czerwonych złotych 135.« Kasper Sadłocha, scholastyk warszawski, wręczył go kollegiatom starszym, jako *monimentum ipsius Majestatis Reginalis praesentiae in eodem Collegio majori.* (Akta rekt. p. 66).«

Podobną pomyłkę historyczną — złożenie przez Krzysztofa Najmana u podnóżka tronu Zygmunta III. bereł i przywilejów akademii Krakowskiéj, — którą najprzód puścił w obieg Biegacewicz, a po nim Śniadecki Jan, Stachowicz w sali jagiellońskiéj pięknym pędzlem odmalował. Oto ustęp z mowy Biegacewicza mianéj do Stanisława Augusta, kiedy mu wstąpienia na tron imieniem akademii w Warszawie winszował: »Jedno szczególnie berło jedynowładzcom swoim przy obejmowaniu rządów oddawali Egipcyanie. Jagiellońska, a tém samém prawem, Twoja zawsze akademia, trzy berła, dwa od najjaśniejszego wiekuistéj pamięci fundatora Jagiellona darowane, trzecie od Zygmunta III. króla, po gwałtownéj niegdyś przez akademików wytrzymanéj burzy, gdy ze dwóch matek o jedno gorąco rozpierających się dziecię, własna i rodzona matka, zdrowszą radą nienarusznie ustąpić, niż na okrutne onegoż zapatrywać się rozdzielenie obrała, przydane, a szczególnie przy powitaniu najjaśniejszych królów używane, na najgłębsze ukorowanéj głowie uczczenie skłania, i pod królewską zniża obronę.«

Najprzód zbija autor podanie o trzech berłach, jako zupełnie fałszywe. Ani Władysław Jagiełło dwóch bereł akademii nie darował, bo na jedném z nich srebrném, napis w płaskorzeźbie umieszczony naocznie przekonywa, że berło to, niegdyś własność kardynała Zbigniewa Oleśnickiego, w 25 lat przeszło po śmierci króla Władysława uniwersytetowi było przekazane; ani Zygmunt III. trzeciego nie dołożył. Trzecie berło, które akademia posiada nie tylko, że nie jest królewskie, ale nawet może na lat sto przed panowaniem Zygmunta III. akademii dane było. Pokazuje to tarcz amaliowana w koronie umieszczona i herby, z których wnosi p. Muczkowski, iż berło to było własnością królewicza Fryderyka, kardynała, arcybiskupa Gnieźnieńskiego i biskupa Krakowskiego.

Śniadecki Jan w 1szym tomie pism swoich str. 123. 2go wydania przywiodłszy mniemaną mowę rektora Krzysztofa Najmana do króla Zygmunta III., dodaje, iż monarcha tak nią był wzruszony, że zaraz wrócił rektorowi przywileje i dwa berła, przydał nadto swoje trzecie, i szkoły jezuickie zamknąć kazał. Nakoniec pisze: »iż ta historya wymalowana była w sali powszechnego akademii zebrania i utrzymywała się przez tradycyą między akademikami. Trzydzieści lat temu, jak szperając po rękopismach akademii Krakowskiéj, czytałem tam jéj opisanie i treść mowy Najmanowicza, która mnie mocno w owym czasie wzruszyła, i prawie wpoiła się w mą pamięć. Jest o niéj wzmianka w pięknéj mowie łacińskiéj rektora Biegacewicza, mianéj do Stanisława Augusta, kiedy mu wstąpienia na tron imieniem akademii w Warszawie winszował.«

Oto w następujący sposób zbija i prostuje autor podanie powyższe: »Przez cały czas panowania Zygmunta III. w r. 1632. zmarłego, Krzysztof Najman, który w r. 1610. swój zawód nauczycielski rozpoczął, raz tylko był rektorem akademii, to jest w r. 1627. w letniém półroczu. Kiedy więc Śniadecki nie określa czasu tego wypadku, przypuścić zatém trzeba, iż się to w r. 1627., i, jak on twierdzi, w Krakowie zdarzyło. Aleć Zygmunt III., wyjechawszy w r. 1609 d. 28. Maja z Krakowa, już więcéj, wedle świadectwa Wielewickiego w mieście tém nie postał; a nigdzie nie masz wzmianki, żeby Krzysztof Najman do Warszawy jeździł, lubo w ciągu kilkunastoletnich z jezuitami zatargów, wielu z akademików w sprawie téj do króla wysyłanych znajdujemy. Nie kazał też król zamknąć szkół jezuickich w Krakowie. Dowodem tego są: tylokrotne zażalenia akademii, wstawienie się sejmu r. 1626., a nakoniec, co najmocniéj zbija twierdzenie o ich zamknięciu, kommissya, która stósownie do 60tego artykułu *Pactorum conventorum* (Voll. legg. T. III. str. 767.) przez nowego króla Władysława IV. na sejmie koronacyjnym r. 1663. do rozpoznania sprawy akademii z jezuitami z dwunastu członków z senatu i koła rycerskiego wysadzona w dniach 6. i 7. Marca 1633. r. na zamku krakowskim zażaleń obu stron słuchała. Tamto, kiedy kommissarze po daremnych blizko dwugodzinnych namowach, nie mogąc akademików skłonić do pewnego połączenia się z jezuitami, które tamci, jakoby ogień w zanadrzu uważali, przychylne za akademią wyrzekła zdanie, obecny ks Rudnicki, rektor collegii, w uniesieniu, iż sprawę tę nie pomyśli jezuitów osądzono, kommissarzom oświadczył, iż boleje nad tém i dziwi się, że po tak blizkim zgonie króla Zygmunta III., którego dobrodziejstwy wszyscy obecni kommissarze byli hojnie obsypani, tak prędko o nim zapomnieli, iż jego postanowienia względem szkół jezuickich zniweczyć pragną. Ztąd się jawnie pokazuje, co też i ciąg téj historyi najmocniéj stwierdza, że Zygmunt III. nic takiego nie postanowił, coby szkołom jezuickim w Krakowie zagładą groziło; a zatém, że ich bynajmniéj zamknąć nie kazał.

(Dokończenie nastąpi.)

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*